

# Krawczyńska, Jadwiga

---

## Trzy trudne lata 1945-1947

---

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 10/3, 383-409

---

1971

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

## TRZY TRUDNE LATA 1945—1947

Na Mokotowie, tuż przed wypędzeniem ze szpitala powstańczego, w którym ostatnio pracowałam\*, dnia 28 września o świcie, nie zatrzymawszy się na niemieckie „halt, halt”, zostałam ostrzelana z broni automatycznej i ranna — jak mi się zdawało na razie — niegroźnie. Też same nocy uciekłyśmy z towarzyszkami z konwoju, wiodącego z tysiąc osób do pruszkowskiego obozu. Trafiłam do Milanówka, do domu przyjaciół (Marii i Jana Szczepkowskich). Tu, w domu pełnym „nielegalnych” uchodźców z Warszawy, ciężko zachorowałam. Następnie leżałam, jako niechętnie przyjęta pacjentka, w szpitalu (ewakuowany z Warszawy Szpital Dzieciątka Jezus), w potwornych warunkach. Gdy dogorywałam niemal, odnalazł mnie 20-letni siostrzeniec Feliks i przewiózł do Krakowa. Ta dwa dni trwająca podróż, wśród tłumów wynędzniałych uchodźców i pod ustawiczną grozą niemieckiego terroru, pozostała w pamięci jako straszliwy koszmar. Rana moja wymagała jak najszybszej operacji. Ratunek zawdzięczam opiece rodziny, a udaną operację lekarzom krakowskiego Szpitala Bonifratrów.

Po paru tygodniach siostra zabrała mnie do swego domu w Mszanie Dolnej.

Dzień 18 stycznia 1945 r. splótł się w mej pamięci z rodzinnymi wydarzeniami. Tego dnia właśnie szwagier mój wybrał się do Krakowa... Szedł pieszo, częściowo jadąc napotkaną w drodze (58 km) ciężarówką. W Krakowie przeprowił się po lodzie na Wiśle, gdyż Niemcom, szybko wycofującym się z miasta, udało się jeszcze most wysadzić w powietrze.

---

\* Jadwiga Krawczyńska ur. 15 III 1891 r. w Krzeszowicach, ukończyła Szkołę Nauk Politycznych. Pracę dziennikarską rozpoczęła w 1921 r. w warszawskim „Przeglądzie Wieczornym”; od 1923 r. w „Kurierze” (Czerwonym), od 1937 r. w „Dzienniku Porannym”, w latach 1938—1939 w „Dzienniku Powszechnym”. Podczas okupacji czynna w prasie konspiracyjnej. Od 1945 r. w organie Stronnictwa Demokratycznego — „Kurier Codzienny”, w latach 1946—1948 w Socjalistycznej Agencji Prasowej. Autorka wspomnień, artykułów i bibliografii z zakresu historii prasy (Red.).

Kraków był oswobodzony, niemal bez strat.

Tego samego dnia mój młody siostrzeniec, Feliks Dubowy, odbywający służbę w Krakowskiej Straży Pożarnej, zawiesił na wieży Wawelu polską biało-czerwoną chorągiew.

W początku lutego wojska ZSRR wkroczyły w nasze podgórskie okolice. W początku maja 1945 r. wraz z siostrą przeniosłyśmy się do Krakowa.

#### ZNOWU W WARSZAWIE: W „KURIERZE CODZIENNYM”

Byłam jeszcze w nie dobrej formie. Słaniałam się, chodząc po ulicach Krakowa. Usiłowałam już jednak starać się o jakąś pracę. Niespodziewanie dostałam list od Stasi Syruczkowej, dawnej koleżanki redakcyjnej i współpracownicy w „Czytelnicy u Przyjaciół”, którą prowadziłyśmy w latach 1941—1944. Otrzymałam propozycję powrotu do Warszawy, otwartą się widoki pracy w tworzącej się redakcji „Kuriera Codziennego” pod kierownictwem Józefa Wasowskiego. Miał to być organ Stronnictwa Demokratycznego.

Szybko się zdecydowałam. Przejazd z Krakowa do Warszawy nie był wówczas sprawą prostą. Ludzie podróżowali pieszo, „podwozili się” wozami chłopskimi lub przypadkowo napotkanym autem. Tego rodzaju podróż była dla mnie nie do pomyślenia. Udało się jednak mej siostrze uzyskać miejsce dla rekonwalescentki w wagonie Czerwonego Krzyża i dzięki temu dojechałam do Warszawy jeszcze tego samego dnia [...]

\* \* \*

Jest bardzo piękny i czysty poranek lipcowy — 8 lipca właśnie — jakże straszliwie wygląda to zdruzgotane miasto w promieniach żywego słońca!

Tą drogą będę przez miesiąc jeździć co dnia, lecz nie potrafię przyzwyczaić się do tych widoków.

Tymczasem dotarliśmy na ulicę Smolną 12, przed drukarnię „Książka”. Jeszcze tu wszystko nie ustabilizowane. Kręcą się jacyś ludzie, ale jakby bez celu, nie „w wirze pracy”. Jest kilka linotypów, jest rotacyjna, lecz brak szybkiego ruchu zecerów i maszynistów. Młodzi składacze leniwie borykają się z małą ilością czcionek i z własną nieznajomością rzemiosła, poczynając od ortografii. Korekty są „straszne”.

Za parę dni ma być uruchomiona własna drukarnia w „Kurierze Codziennym” przy ul. Śniadeckich; tymczasem musimy się pomęczyć ze Smolną.

Od strony ulicy Marszałkowskiej nie możemy dojechać pod sam dom

nr 16 przy ulicy Śniadeckich, bo pośrodku jezdni leży góra gruzu, wznosząca się powyżej pierwszego piętra okolicznych domów. Pagórów takich jest w Warszawie więcej i dopiero z czasem będą usuwane. Na razie jest za mało ludzi, kilofów, łopat, za mało ciężarówek do wywożenia gruzów ze zburzonych kamienic.

Dochodzimy więc pieszo do bramy nr 16. Za murem, okalającym siedzibę redakcji, widać kilka starych drzew i nieduży dom dwupiętrowy. Ma w sobie coś prowincjonalnego, coś miłego dla mnie. Wąskimi schodkami prowadzą mnie na piętro: tu ma być redakcja — trzy pokoje, niemal puste, a z tych najmniejszy, na lewo, zajęty jest przez naczelnego. Jest już u siebie za biurkiem: Wasowski, trochę postarzały, przez kilka lat okupacji zaszyty na prowincji, ale ten sam uśmiechnięty filozof, jakiego znaleźliśmy z czasów wojującej „Epoki”!

Nie wiem, jak wyszłam z próby powitania go po latach, gdy oczy wilgotnieją, a jednocześnie usta się śmieją, a serce ściska na przemian żal i nadzieja. Nie ma jednak czasu na rozczulanie się. Numer 1 gazety musi ukazać się dzisiaj — jest już w robocie — będę od początku przy jego narodzinach.

Z „gabinetu” naczelnego przechodzę do „sali redakcyjnej” i ... naderemnie szukam krzesła, by spocząć, bo nogi uginają się pode mną. Dobrze, że mogę chociaż oprzeć się o parapet okna. Stąd asystuję przy meblowaniu pokoju. Sprzęty bardzo dziwaczne. Obok pięknego (i wcale nie wygodnego) jesionowego sekretarzyka, zwykły stolik pod maszynę i tylko dwa krzesła. Przez wiele miesięcy to będzie stała bolączka redakcji, a także całej Warszawy, biur i mieszkań — brak najzwyklejszych krzeseł!

Młodzi koledzy jakoś z tym sobie radzili — pisali „w powietrzu” swoje notatki lub opierali się o mój sekretarzyk.

Pierwszy numer „Kuriera Codziennego”, z podtytułem: „Pismo Stronnictwa Demokratycznego”, wygląda ubożuchno. Mały format papieru, tylko 42 cm × 28 cm, a jakość papieru marna, druk lichey, bo farba byle jaka. Objętość 8 stroniczek. Takie wymiary utrzymują się przez cały pierwszy okres ukazywania się pisma.

Układ numeru 1 i następnych — czteroszpaltowy. Nagłówek czarny przez całą szerokość kolumny. Tytuł „Kurier Codzienny” dość grubo narysowany, lecz bezpretensjonalny (co mi się podoba), wysokości 3,5 cm, a pod linią mniejszymi literami: „Pismo Stronnictwa Demokratycznego”. I znowu między liniami: Warszawa — dzień tygodnia, data z lewej, a rok I i Nr — po stronie prawej. Wysokość całego nagłówka — 6 cm — była proporcjonalna do małego wymiaru papieru.

U góry nad tytułem dodano: „Wydanie popołudniowe”, co utrzymało się niemal do grudnia tegoż roku.

Pierwszą szpaltę pisma zajmował krótki artykuł wstępny oznaczony tytułem rubryki „Z dnia” oraz drugim tytułikiem, odpowiednim do treści. Artykuł nie był podpisywany, przedstawiał stanowisko redakcji. Pisał go przeważnie Mieczysław Krzepakowski, zastępca redaktora naczelnego, czasami Józef Wasowski lub ktoś inny z redaktorów. Resztę pierwszej kolumny wypełniały depezesy krajowe i obce, ważniejsze wiadomości, a osobna dwuszpaltówka w rubryce: „Wydarzenia dnia”, po prawej stronie u dołu, zapowiadała dalsze najistotniejsze wiadomości.

Na stronie drugiej w czwartej szpalcie mieścił się krótki „przegląd prasy”, opatrzone małymi podtytułikami. Cytowałam w nim 3—4 wyjątki charakterystyczne z innych pism. Była to moja stała rubryka, pierwsza, do jakiej się zabierałam co dnia po przyjeździe do redakcji. Stronice drugą wypełniały aktualne artykuły na tematy polityki wewnętrznej i zagranicznej, przeważnie w układzie 3-szpaltowym, reszta depezesy i informacji.

Strony 3 i 4 były poświęcone sprawom krajowym i społecznym. Tutaj także było miejsce dla felietonu aktualnego, dla informacji Stronnictwa Demokratycznego i innych działów. Felieton w rubryce „Za i przeciw” pisywał nasz naczelny, Józef Wasowski, sygnując go dawnym pseudonimem: Widz. Sądzę, że nie mógł rozstać się z tą formą, tak trudną, a tak bardzo mu odpowiadającą, w której celował. Czasami te jego felietony, świetnego pióra, zawsze ozdobione cytatami, przносиły się skromnie na stronę czwartą. Dalsze stronice zmieniały treść i charakter, zależnie od napływającego materiału. Często występował np. „Kurier Gospodarczy” (artykuły, informacje, kronika), w numerze niedzielnym strona ostatnia przeważnie była zajęta przez „Kurier Literacki”. Redagował go znakomity krytyk-publicysta Wacław Rogowicz. Oprócz artykułu zasadniczego było tam miejsce dla kroniki literackiej, dla felietonu, wiersza. Pojawiała się też często stronica zatytułowana: „Na ziemiach Polski”. Zajął się nią specjalnie red. Lech Aleksander Makulski, gromadząc korespondencje i wiadomości z całego kraju. Wreszcie cała stronica, a niekiedy tylko jej część, była poświęcona informacji lokalnej pt. „W stolicy”. Musiały też zmieścić się „Sport” i „Reportaż miejski”, a także „Ruch Związków Zawodowych”.

Słowem, życie odradzającej się stolicy i kraju, jego związki z innymi krajami nie mogły nawet pomieścić się w najkrótszej formie w tak małym pisemku. Redaktorzy byli obowiązani do zwięzłości, a tematów przybywało co dnia... Przybywali też współpracownicy, wracający do Warszawy dziennikarze.

Pojawiły się felietony Wiecha, ulubiona lektura warszawiaków. W odcinku ukazywała się powieść Elżbiety Szemplińskiej-Sobolewskiej *Warszawa w ogniu*. Coraz nowe nazwiska wyływały na szpaltach „Kuriera

Codziennego". Z czasem, np. gdy ożył teatr, zaczęły się pojawiać recenzje Jacka Frühlinga.

Od początku „Kurier Codzienny” zyskał sobie renomę jako organ ogłoszeniowy. Ogłoszenia — w tym dużo drobnych — musiano nawet przerzucać ze strony 8 na stronę 7.

Stały trzon redakcji stanowili od początku: redaktor naczelny Józef Wasowski, jego zastępca Mieczysław Krzepakowski, sekretarz redakcji Renata Marciniakowa oraz członkowie redakcji: Halszka Duninówna — reportaż miejski i sprawozdawczość ze Stołecznej Rady Narodowej, Jadwiga Krawczyńska — reportaż społeczny i „Przegląd prasy”, Stanisław Prószyński — repatriacja i osadnictwo, czyli tzw. wówczas Ziemie Odzyskane, Irena Stefańska — sport, a w „Kurierze Literackim” zapamiętałam Waława Rogowicza przy ogromnym stole, jakby wypożyczonym z jadalni mieszczańskiej. To było w drugim pokoju redakcyjnym, do którego potem wkrótce weszli także, obok Prószyńskiego, Lech Aleksander Makulski, redagujący dział „Na ziemiach Polski”, i inni.

Wkrótce też nadciągnął znany publicysta i przyjaciel Wasowskiego, Witold Giełżyński, obejmując redagowanie depeš i od czasu do czasu pisał artykuły na tematy polityki zagranicznej. Później nieco przybyła dr Karolina Beylin; zajęła się sprawami wychowania i literaturą.

Wśród młodych, głównie wysyłanych na reportaż i informacje z różnych dziedzin, krzątał się: Waław Zdzarski, najczęściej ze swym aparatem fotograficznym, przynoszący notatki o filmie, Tadeusz Goldcwajg, Jadwiga Kasko, Barbara Olszewska.

Technicznymi sprawami pisma zajmował się „majster od techniki” — Mikołaj Wadyas, mając do pomocy Grzegorza Aleksandrowicza i Stanisława Marciniaka. Nie było zresztą tamy w pracy reporterskiej ani ograniczeń ze strony naczelnego lub Renaty, którzy chętnie korzystali z materiałów pozaredakcyjnych. Pamiętam np. Krzysztofa Radziwiłła, który zjawiał się ze swymi artykułami, a Zdzisław Wójtowicz nadsyłał z Gdańska wiadomości i reportaże. Było zresztą wielu korespondentów, przygodnie zasilających „Kurier Codzienny”.

Administracją pisma kierował Ferdynand Arczyński.

Zecernia „Kuriera Codziennego” mieściła się w pokojach parterowych, gdzie było ciasno i brudno, oświetlenie „kagankowe” — ale byli tam zecerzy z prawdziwego zdarzenia, ludzie starsi wiekiem, doświadczeni składacze.

Z racji mych czynności, nie związanych z drukarnią, rzadko tylko tam bywałam i mało wiem o jej funkcjonowaniu. Zawsze bardzo lubiłam współpracę z drukarnią i nigdy nie miałam zatargu z zecerami. Interesowała mnie praca drukarni, dość długo nie tylko asystowałam, lecz sama „łamałam numer” z metrampażem. Była to czynność zajmu-

jąca i wymagająca wyobraźni, może nawet zdolności plastycznych, gdy trzeba było w błyskawicznym tempie przerzucać szpalty, aby zrobić miejsce na pilną wiadomość, która koniecznie musiała wejść do numeru. W tej redakcji nie miałam obowiązkowej styczności z drukarnią, więc czasami tylko zaglądałam tam, by pokłonić się drukarzom, których częściej spotykałam w stołówce na obiadach.

Nowością w życiu redakcyjnym była zorganizowana przez wydawnictwo tzw. stołówka. Bez niej nie byłaby wówczas możliwa egzystencja ludzi pracy. Sama pogoń za zdobyciem produktów zajmowałaby kilka godzin dziennie. Dostawaliśmy — jak na możliwości aprowizacyjne w owych czasach — dobre obiady (zupa i danie mięsne z jarzynami, skromny deser); wydawano też pewną ilość prowiantu na śniadanie i kolacje. Były w tym: chleb, masło, marmolada, mąka, kasza. Dopiero po kilku tygodniach, a może miesiącach zasilili nas paczki z Ameryki, zawierające przeważnie konserwy. Później otrzymaliśmy trochę materiałów bawełnianych i wełnianych na odzież i bieliznę. Wreszcie buciki — jakich nie włożyłaby normalnie żadna szanująca się Polka... Ale wtedy nie można było grymasić — nosiło się najlichszą odzież, byle było co na grzbiet włożyć. Owe paczki UNRRA były ratunkiem.

Na razie mieliśmy zapewnione podstawowe wyżywienie, a to było najważniejsze. Obiady między godziną 13 a 14 wywoływały dobry nastrój. Schodziliśmy się w parterowej salce, przy dużych stołach, zasiadaliśmy na prostych ławach, pospołu pracownicy redakcji, administracji i drukarni.

Pierwszy miesiąc po powrocie do Warszawy był pod pewnymi względami najtrudniejszy dla mnie. Byłam jeszcze bardzo słaba i wyczerpana. Rano wstawało się wcześnie. W redakcji, w ruchu i w pracy wśród ludzi „udawałam” samą siebie, tę dawną, energiczną i dzielną. Po południu wracałam pieszo na ulicę Szustra, wlokąc się powoli. W domu, u Stasi Syruczkowej, kładłam się zaraz na tapczan i godzinami wypoczywałam. Stopniowo jednak wysiłek pomagał mi w odzyskaniu sił i ochoty do pracy.

Po miesiącu znalazł się dla mnie pokój u dawnej znajomej lekarki, dr Neli M., tuż obok redakcji na ul. Śniadeckich 18. Było mi bardzo dobrze u Stasi, lecz nie należało przedłużać gościny — przeniosłam tedy moją walizkę i pościel, przywiezioną od siostry z Krakowa, i ulokowałam się na biało lakierowanym łóżku żelaznym.

Wspomniałam, że niejednokrotnie, korzystając z bliskiego sąsiedztwa, przychodziłam także wieczorami do redakcji, zwłaszcza gdy miałam coś szybko napisać. Te wieczory były jeszcze bardziej „z nieprawdziwego zdarzenia” niż dzienna praca. Sceneria tajemnicza. Jakaś lampeczka-kaganek oświeca korytarz i schody — często jednak wchodzi się i wychodzi

po ciemku. Pokoje redakcyjne można zwiedzać tylko ze świecą w rękę. Są pełne cieni... Któregoś wieczoru we troje pisaliśmy przy jednej, jedynej świeczce... dwie koleżanki i któryś z kolegów, a każdy na inny temat. Mówić zaś i gadać można było doskonale przy takim „oświeceniu”. Dobrze, że był jeszcze pasek papieru i coś w rodzaju piszącego pióra... (bo bywały też i nie piszące).

Czasami z pokoiku na lewo wylaniał się naczelny, który tkwił tutaj do późna. I on, i my wszyscy potrafiliśmy dostosować się do tych dzikich warunków i pracować ile sił, aby pismo stawało się coraz lepsze. Rozchodziło się zresztą dobrze i miało coraz więcej ogłoszeń. Oczywiście, papier i druk wciąż były marne, farba nieszczególna, mówiąc oględnie.

Parę słów należy się naszemu nacelnemu, Józefowi Wasowskiemu. Złośliwcy, bo ich też należy wezwać na świadków, twierdzili, że odkąd posiwił — nabrał dostojnego wyglądu, stracił swą ryżą fryzurę... Był wcieleniem filozoficznej pogody i dobroci — umiał jednak stawiać wymagania nie byle jakie. Uważnie czytał nasze rękopisy i błędne wyrażenia lub nie wyważone myśli nie uszły jego surowego sądu. Pierwszy z rana zjawiał się w pokoju redakcyjnym — uważał to za swój obowiązek czy może za przywilej. Potrzebował zresztą przejść parę kroków przez korytarz z mieszkania na tym samym piętrze, gdzie gospodarowała żona, pani Maria Strońska, znakomita aktorka, niezapomniana recytatorka i profesorka Szkoły Teatralnej.

Zaznajomiłam się szybko z młodymi koleżankami, uczennicami Wasowskiego ze Szkoły Dziennikarskiej, Renatą i Ireną. Były życzliwe i dobre. Renata Marciniak, młoda mężatka, urodziwa, prowadziła sekretariat redakcji, bardzo akuratnie, ku zadowoleniu mistrza. Bardzo ambitna, chłonna intelektualnie, zapowiadała się jako zdolna dziennikarka. Jej nagły zgon w kilka miesięcy później, w grudniu 1945 r., był dla wszystkich w redakcji ciężkim przeżyciem.

Tymczasem beztrudno chodziłyśmy w wolnych chwilach, więc nie często, na kawę i ciastka, a przy tym na dyskusje do „odrodzonej” cukierni Pomianowskich, bliźutko na rogu ulic Pięknej i Marszałkowskiej. Ta cukiernia cieszyła się sympatią publiczności nie tylko z powodu doskonałych wyrobów i uprzejmości gospodarzy; wszyscy pamiętali, że w czasie okupacji cukiernia była bezpiecznym punktem spotkań, nie widywało się tam Niemców, a szeptana wieść niosła, że Pomianowscy mieli otwartą dłoń i wspomagali mnóstwo ludzi potrzebujących, może i ruch podziemny. Przytaczam to na rachunek warszawskiej famy. Było teraz biedniej w sali cukierni, nie było wspaniałych palm, zwieszających ongi swe wachlarze nad stolikami zaszeptanych par lub nudzących się starszych panów, stoliki i krzeselka były niedobre, byle jakie, ale wówczas nie mogło być inaczej w zrujnowanej stolicy. Nasz wygląd i nasze ubrania



nie wymagały zresztą jedwabiem krytych stylowych kanap... bieda była regułą dla całego społeczeństwa i przyjmowało się to jako rzecz oczywistą. Było przyjemnie, gdy można było się spotkać i porozmawiać, wspomniawszy, że w tym samym lokalu pijało się kawę przez wiele, wiele lat. Graniczyło to z cudem, że dom i lokal ocalały...

W redakcji „nie z prawdziwego zdarzenia” zadowoliliśmy się łatwo z właściwą dziennikarzom niefrasobliwością, zwiększoną jeszcze warunkami życia w ruinach. Krzesel wciąż brakowało, atrament i ołówki były cenną zdobyczą. Czasami przy jednym stole pisały cztery osoby... Jedyna maszyna do pisania była we władaniu Renaty. Moje biurko, stary sekretarzyk jesionowy miał tak imponującą wypukłą pokrywę, że tylko z jednej strony można było się do niego przysiąść. Lecz w jego przepastnych szufladach mieściły się skarby w rodzaju nożyczek i gumek, pożyczanych kolegom; papier dostawaliśmy ze ścinków drukarni.

W gabinecie naczelnego odbywały się stosunkowo dość często — chyba co tydzień — zebrania redakcyjne. Poza tym kontakt z Wasowskim nie był trudny — można było prawie zawsze zasięgnąć jego rady lub aprobaty. Renata bardzo życzliwie załatwiała sekretariackie sprawy. Od początku zabrałam się do pisania, powoli odzyskiwałam siły do pracy.

Już w numerze 8 z niedzieli 15 lipca „Kurier Codzienny” zamieścił mój wspomnieniowy artykuł pt. *Obchód grunwaldzki w 500-lecie zwycięstwa*. Przypominałam ówczesne odsłonięcie wielkiego pomnika grunwaldzkiego w Krakowie fundacji Ignacego Paderewskiego, pomnika zburzonego przez hitlerowców. We wstępnym felietonie pt. *Płoną wici* redakcja dała wyraz nadziejom obecnego pokolenia Polaków na tle 535 rocznicy wielkiego zwycięstwa słowiańskich ludów nad Krzyżakami.

Inną z moich prac było wspomnienie o okupacyjnej, pierwszej masakrze publicznej na Mokotowie w 1943 r. Pisałam to w związku z ufundowaniem i odsłonięciem pomnika-obelisku, wystawionego przez obywateli Mokotowa na miejscu hitlerowskiej zbrodni, na rogu ulicy Madalińskiego i Alei Niepodległości. Blisko tego miejsca, o sto metrów od muru egzekucyjnego mieszkałam wówczas i nie mogłam zapomnieć ani dnia 16 października, ani szczegółów krwawej zemsty okupanta, ani wzburzenia ludu warszawskiego. Byłam teraz obecna na dzielnicowej uroczystości, zrobiono zdjęcia do „Kuriera”.

Wspomnieniami jednak nie mogliśmy napędzić gazety; był to wyjątkowy, związany z aktualnością, wypadek. Pochłaniała nas wszystkich odbudowa stolicy, organizowanie jej nowego życia, gospodarczego i społecznego. Nie do opisania ciężkie i prymitywne sprawy — ale tak pilne, że jakimikolwiek sposobami musiały być doraźnie podejmowane. Z racji mej funkcji nawiązywałam kontakty z placówkami organizującymi różnego rodzaju pomoc dla powracających wciąż mieszkańców stolicy. Lu-

dzie napływali do swych rodzin ze wszech stron, z kraju i z zagranicy, z niemieckich obozów i z tak zwanego „wypnania”, z prowincji. Przeważnie w skrajnej nędzy, poszukiwali dawnych swych mieszkań i ludzi bliskich. Często były to najtragiczniejsze wędrówki — ani śladów, ani wieści, tylko mogiły i gruzy. Organizacji państwowej polskiej przychodziły z pomocą instytucje zagraniczne, przede wszystkim agendy Narodów Zjednoczonych, misje szwedzka i duńska, które prowadziły wspólną robotę, ratując wiele dzieci i chorych na tyfus.

Kiedyś spotkałam w domu znajomych zaprzyjaźnionego z nimi konsula duńskiego Mogensena. Z rozmowy dowiedziałam się, że jego matka była uczestniczką jednej z misji sanitarnych, przybyłych do Polski z Danii. Ofiarnie pracowała wśród największej nędzy we wsiach kurpiowskich, w szpitalach tyfusowych. Podczas tej pracy zaraziła się tyfusem i zmarła. O śmierci starszej pani Mogensen mało wówczas wiadano, a syn z pietyzmu dla matki unikał nadawania rozgłosu jej pracy misyjnej i zgonowi w służbie społecznej.

Rozdział żywności, odzieży, obuwia przez placówki UNRRA, tysiące darów indywidualnych, tak zwane paczki z Ameryki pomagały wynędzniałej ludności w wielkich miastach i w zapadłych dalekich osiedlach. Zetknęłam się wówczas z ludźmi dobrej woli, oddanymi sprawom pomocy cierpiącej ludzkości — z wysokimi szefami i z „szarymi” pracownikami misji zagranicznych, duńskich, angielskich, szwedzkich, amerykańskich, szwajcarskich, organizacji różnego typu. Wszyscy oni wydawali się zaskoczeni potworną ruiną i nędzą naszego kraju, nie mogli nawet uwierzyć, że do tego stopnia okupacja wyniszczyła wszelkie zasoby, zrujnowała domy mieszkalne i kościoły, że palono miasta i wsie, wypędzając dorosłych i dzieci, a historia obozów koncentracyjnych była dla tych kulturalnych i na pewno zacnych ludzi koszmarem nie do przyjęcia. Widzieli jednak naocznie pozostałości i skutki reżimu hitlerowskiego — w wygasłych oczach starców, w przerażonych spojrzeniach dzieciarni, w rezygnacji lub buncie ludzi szukających dachu nad głową i zabezpieczenia przed głodem i mrozem. To, czego się tutaj dowiadawali o hitlerowcach i o ich okrucieństwach, wydawało się im absurdalne... W wielu wypadkach zdumiewała ludzi obcych wytrzymałość ludu polskiego, wszystkich jego klas i stanów, olbrzymia odporność na niedolę i energia w odbudowywaniu sobie egzystencji.

W „Kurierze Codziennym” można odnaleźć echa wielu akcji pomocy z zagranicy, znacznie jednak mocniej akcentowałam nasze własne poczynania. Bo to było ważniejsze, by oprzeć się na własnej organizacji, by wysiłkiem, jeszcze jednym z kolei, ugruntować byt najszybszych mas narodu — choćby na bardzo prymitywnym poziomie, na jaki wówczas nas było stać. Stanowisko takie było inicjowane przez placówki

państwowe, przez Ministerstwo Pomocy Społecznej i różne komitety. Ceniąc pomoc zagraniczną, przyjmując z konieczności i z potrzeby dary od narodów, które nie ucierpiały tak, jak my, podczas wojny, starano się przejmować tę pomoc we własne ręce.

Pewnego razu odbyłam wielogodzinny objazd placówek pomocy dla dzieci w Warszawie w towarzystwie przedstawicieli Wydziału Opieki Społecznej Rady Narodowej. Obserwacje, jakie tam mogłam zrobić, były optymistyczne: na straszliwą nędzę niedożywionej i chorej dzieciarni znajdowano wszędzie, na Żoliborzu i w Śródmieściu, pomoc i radę. Ofiarność społeczna była ogromna, można było na nią liczyć.

Do mego działu redakcyjnego należały też zagadnienia zdrowia publicznego i higieny społecznej. Zaznajomiłam się z pracami prowadzonymi w Ministerstwie Zdrowia, gdzie było wiele inicjatyw, a wobec ogromnych potrzeb kraju — bardzo dużo trudności. Przede wszystkim brak odpowiednio przygotowanych ludzi: kadry lekarskie, pielęgniarskie, tak zwany personel pomocniczy — wytępione przez prześladowania okupanta, przez działania wojenne i choroby. Zrujnowane szpitale, budynki i laboratoria, niedostatek leków i materiałów sanitarnych. Miasta i wsie pozbawione zupełnie lub w znacznym stopniu organizacji i urządzeń sanitarnych... Wszystko to trzeba było od razu i równocześnie niemal tworzyć, organizować, odbudować i na nowo budować! Nowe zasady służby zdrowia, nowe poglądy na zadania i społeczną rolę lekarza miały być wcielane w życie jak najprędzej... Problemów było w tej dziedzinie mnóstwo i bardzo ważnych.

Spotkałam w tym ministerstwie dużo zrozumienia dla roli prasy i miałam wiele różnorodnego materiału nadającego się do popularyzowania pilnych zagadnień — nie zawsze mile widzianych nawet przez zasłużonych lekarzy.

W zachowanych numerach „Kuriera Codziennego” znajduję na przykład moje krótkie sprawozdanie ze zjazdu naczelników wojewódzkich Wydziałów Zdrowia i odpowiedni felieton wstępny (nr 110, z 25 X 1945) pt. *Dwa poglądy*. Byłam po powrocie z owego zjazdu bardzo poruszona zasłyszanymi opiniami i wypowiedziałam się kategorycznie za poglądem, reprezentowanym przez dyrektora departamentu dra Grynberga. Wasowski zgodził się dać mi miejsce w artykule wstępnym. Pisałam tam: „[...] mamy dziś prawo wymagać od lekarza tego poświęcenia i samozaparcia, jakie widzimy w innych zawodach — lekarz tam być powinien, gdzie jest najbardziej potrzebny, gdzie jego pomocnej ręki i jego wiedzy oczekuje zrujnowana, wynędzniała, chora ludność”. I dalej: „Od lekarza mamy prawo żądać dziś ofiarnej pracy w ciężkich warunkach, jak żądamy tego od robotnika, nauczyciela, żołnierza, dziennikarza”. I wresz-

cie: „Mamy nadzieję, że społeczne poglądy, jakie słyszeliśmy, były rzeczą przypadku i że nie są one wyrazem postawy ogółu lekarzy”.

Po tym artykule, wyrażającym stanowisko redakcji, zawrzało wśród lekarzy. Jeden z bardzo znanych starszych lekarzy podjął polemikę w innym piśmie. Lecz argumenty dobrze ustabilizowanych powag nie mogły się ostać wobec stanowiska Ministerstwa Zdrowia i wobec realnych potrzeb kraju.

Były to czasy wymagające od obywateli wyjątkowej energii i poświęceń. Ministerstwem Zdrowia kierował zasłużony lekarz, dr Franciszek Litwin. Jego poglądy odtworzyłam w wywiadzie, a niemało inspiracji i ułatwień zawdzięczam ówczesnemu szefowi prasowemu drowi Stanisławowi Jagielskiemu.

Interesujące i autorytatywne, swoiste w stylu, były wystąpienia prof. dra Mieczysława Michałowicza, oryginalne, pozbawione biurokratyzmu. Zdawałam np. sprawę z konferencji w Ministerstwie Zdrowia w sprawie walki z alkoholizmem. Uczestniczył w niej obok aktualnego ministra, b. minister dr Witold Chodźko, wielki działacz na terenie międzynarodowym. To, co powiedział prof. dr M. Michałowicz, odbiegało od wszelkich utartych form i było swego rodzaju rewelacją.

Powiedział mniej więcej tak: „Przekonywanie społeczeństwa nie daje wyników. Tam się łęgnie nietrzeźwość, gdzie są po temu warunki... Trzeźwość jest nudna, nietrzeźwość jest wesoła — tak się mówi. Ale wesołość pod wpływem alkoholu trwa tylko chwilę — przekształca się nawet w zbrodnię...”

„Jak zwalczać alkoholizm? Tworzyć w Polsce zakątki wesela, gdzie duch może cieszyć się i korzystać z piękna...”

Budzić radość życia — oto recepta. Prosta i mądra, lecz jak ją skutecznie zastosować?

Innym razem prof. dr Michałowicz udzielił mi wywiadu w swojej klinice na temat pomocy Szwajcarii dla dzieci polskich, a dr Skokowska-Rudolfowa, niezmiernie aktywna organizatorka, naczelnik Wydziału Zdrowia Stołecznej Rady Narodowej, sprecyzowała szczegóły tej pomocy.

Wrzała gorączkowa praca organizacyjna — obserwowałam ją z bliska. Mogłam też zaobserwować, jak tworzyły się nowe kierunki działalności zdrowotnej dla wsi oraz pierwsze poczynania w zakresie medycyny pracy.

W Ministerstwie Sprawiedliwości podjęto opracowywanie ustawodawstwa ludowego, które mogłoby zastąpić dawne zacofane normy i wreszcie ujednoczyć je w całym kraju. Na spotkaniach i konferencjach prasowych odbywały się w tym czasie dyskusje prawników i społeczników na tematy prawa rodzinnego i małżeńskiego. Zagadnienia te wywoływały duży oddźwięk w społeczeństwie, bo praktycznie dotyczyły każdego nie-

mal obywatela. Na łamy prasy trafiały wówczas przeważnie poglądy zgodne z nowymi projektami i torowały sobie drogę do umysłów, nie bez oporu ze strony kół konserwatywnych i klerykalnych. Muszę przyznać, że z wielką korzyścią wysłuchiwałam tych konferencji prasowych lub pozaprasowych, odbywających się w Ministerstwie Sprawiedliwości. Występowali często: Seweryn Szer, Jerzy Sawicki i inni wybitni prawnicy, specjaliści w dziedzinach swej działalności. Ministrem sprawiedliwości był Henryk Świątkowski, reprezentujący stanowisko bardzo nowoczesne i postępowe.

Mała objętość „Kuriera Codziennego” nie pozwalała na ciekawsze pod względem formy i bardziej szczegółowe zaznajamianie czytelników z tymi problemami. Miały one zbyt zwięzłą i sprawozdawczą wymowę w moich relacjach, mimo że redaktor naczelny w pełni popierał tematykę społeczną, musiał jednak zachować proporcje między informacją a dyskusją, publicystyką i reportażem.

Mnożył się w szybkim tempie materiał napływający nie tylko planowo od własnych współpracowników, lecz przygodny, od dziennikarzy i osób postronnych. Rozszerzał się zasięg tematów, w miarę jak mnożyły się nowo powstające placówki lub placówki przywracane do życia.

Pamiętam, z jakim szczególnym wzruszeniem witaliśmy pierwszą po okupacji w prawobrzeżnej Warszawie linię tramwajową nr 9 na ulicy Marszałkowskiej! Wskakiwaliśmy, jak dzieci, do wolno posuwającego się czerwonego wozu, „aby się przejechać”... Entuzjazm warszawiaków uwiecznił Wiech — kronikarz najpopularniejszy — w felietonie *Tramwaj na Marszałkowskiej* („Kurier Codzienny”, nr 99, z 14 X 1945 r.).

W jednym z dalszych numerów pisma rozpoczął cykl *Listów z Londynu* Regnis, czyli Bernard Singer, dawny współpracownik „Naszego Przeglądu”. Inny temat poruszył Józef Brodzki, ongi publicysta „Kuriera Porannego”. Było to wspomnienie o niedawno zmarłym rzeźbiarzu i człowieku rzadkiej subtelności Henryku Kunie.

Wśród powracających do stolicy witaliśmy szczególnie gorąco w redakcji Wincentego Rzymowskiego, jednego z politycznych filarów Stronnictwa Demokratycznego. Dawny współpracownik redakcji warszawskich, znakomity publicysta, nie powrócił już do pracy pisarskiej. Pochłonięta go polityka i działalność publiczna w Stronnictwie i w rządzie i w tym charakterze odtąd go spotykałam. Był to — niestety — człowiek już bardzo zmęczony, już tylko cień dawnego bojowego dialektyka, świetnego szermierza w dyskusji i w polemice!

Od czasu do czasu spotykałam w swej pracy dawnych działaczy społecznych, starałam się zresztą ich zobaczyć. Tak jednym z pierwszych, spotkanych jeszcze w Instytucie Higieny na Chocimskiej, był dr Witold Chodźko, którego bardzo ceniłam. Ogromnie zmieniony, znać było na nim

ciężkie przeżycia okupacyjne — lecz miło mi było go zobaczyć. Rozmawiałam też z Aleksandrem Jackowskim, którego szczególnie pamiętałam z czasów mokotowskich w okresie okupacji, gdy gorliwie narażał się — człowiek zawsze bardzo cichy i ostrożny, dusza artystyczna — ratując dzieci żydowskie.

Nie mogę zapomnieć tragicznego losu Stanisława Greka. Lwowianin, od dawna przyrosły do Warszawy, jako współpracownik tutejszej redakcji, zjawił się pewnego dnia w „Kurierze Codziennym” bardzo wymiżerowany, lecz pełen szerokich projektów i zapału — nastroju, jakiego dawniej raczej u niego nie pamiętaliśmy. Był to kulturalny, spokojny, elegancki człowiek, nie lubiący wysuwać się na czoło, nie szukający ani wielkich sukcesów, ani wysiłków. Początkowo był korespondentem „Kurierera” z Krakowa — nadsyłał dobre artykuły. Teraz zaangażował się jako korespondent prasowy na rozpoczynający się proces w Norymberdze i wiele obiecywał sobie po działalności na terenie międzynarodowym. Na razie obiecano korespondentom efektowne umundurowanie, wydano im legitymacje — Staś ją pokazywał z radością i dumą — ale znalazłszy się w Warszawie, nie miał najprostszych możliwości egzystencji ani dachu nad głową. W swej skromności prosił, by mu wolno było korzystać z gościnności redakcji. Wyglądało to tak, że przez parę nocy miał do dyspozycji miejsce do spania na dużym stole redakcyjnym. W owych czasach nikogo to nie dziwiło — jeszcze długo potem wielu delegatów naukowych i oficjalnych w podróży sypiało na stołach, z teczką lub walizką pod głową — nie było innych urządzeń — łóżek brak było w całej Warszawie, w całej Polsce. Ale Staś nie był przyzwyczajony do życia surowego i sportowego, był po okupacji bardzo wynędzniały fizycznie i te wysiłki podkopywały jego zdrowie. Spodziewaliśmy się, że w Norymberdze polski „War-correspondent” będzie miał zapewnione względnie wygodne warunki bytowe. Wyjeżdżał w dobrym nastroju. Po tygodniach czy niewiele miesięcy nadeszły od redaktora Greka złe wiadomości. Zjawiała się w redakcji jego żona, prosząc o pomoc i poparcie jej prośby o szybki wyjazd do męża, ciężko chorego w Norymberdze. Jej starania natrafiły na przeszkody i zwłoka trwała dostatecznie długo, by wyjazd okazał się już zbyt późny. Stanisław Grek zmarł w Norymberdze w kwietniu lub w maju 1946 r., a jedynym znanym mi śladem ostatniego dramatu pozostała notatka w „Kurierze Codziennym” (nr 139, z 21 V. 1946 r.) pod tytułem *Żelazna kurtyna*.

Do redakcji „Kuriera Codziennego” dość często przychodziła sekretarka dawnej Wyższej Szkoły Dziennikarskiej Maria Czajkowska, aby z redaktorem Wasowskim omawiać aktualne sprawy. Szkoła była „ukochanym dzieckiem” Wasowskiego. Chodziło o odbudowę gmachu, częściowo zrujnowanego przy ulicy Rozbrat 44a. Pełna zapału dla tych po-

czyniań, których była w znacznej mierze inicjatorką i w pełni wykonawczynią, Marysia — bo tak myślę o niej po latach serdecznej, wówczas nawiązanej przyjaźni — była przykładem ofiarnej działaczki, mocno związanej ze środowiskiem dziennikarskim. Energicznie walczyła o przeprowadzenie planów odbudowy Szkoły, co nastroczało wielkie trudności. Podtrzymywała te prace, równocześnie starając się skupić dawnych słuchaczy Szkoły i profesorów. Ze szczególną troską odnosiła się do Stanisława Jarkowskiego, który znajdował się w wyjątkowo ciężkiej sytuacji. Znany i zasłużony prasoznawca, bibliograf i historyk prasy, jeden z profesorów Szkoły Dziennikarskiej, w czasie okupacji utracił wszystkie swe zbiory i cenną bibliotekę prasoznawczą. Usiłował powrócić do dawnych zamiłowań, które były jedyną bodaj pasją jego życia, a w Warszawie żył bez dachu nad głową, naprawdę w nędzy. Marysia, jak mogła, opiekowała się chorym, niepraktycznym człowiekiem, bezradnym w życiu pookupacyjnym, w zrujnowanym mieście. Wynalazła dla niego jakąś izdebkę w gmachu na Rozbraciu, starała się o pomoc dla niego. Jarkowski wykazał wiele hartu ducha i energii w działaniu — miał tę — niestety ostatnią — radość, że doczekał powołania Polskiego Instytutu Prasoznawczego, był jego wiceprezesem aż do rychłego zgonu w 1947 r.

Na Pradze znacznie lepiej zachowały się nie zrujnowane budynki niż w lewobrzeznej Warszawie i tutaj mieściły się przez czas dłuższy instytucje państwowe. Między innymi także Ministerstwo Informacji i Propagandy, któremu podlegały redakcje i dziennikarze. Jeszcze w owym czasie nie ustalone były formy organizacyjne (jakkolwiek wskrzeszono Związek Zawodowy Dziennikarzy RP), lecz praktycznie biorąc, odbywały się konferencje prasowe (ministrem był Stefan Matuszewski) i spotkania, a dziennikarze zgłaszali się we wszelkich swoich sprawach do Wydziału Prasowego, którego szefem był nasz dawny kolega, Antoni Bida. Więc i ja powędrowałam na Pragę do ministerstwa, aby przedstawić się nowym władzom, a odwiedzić starych znajomych i kolegów. Odnajdowanie ludzi było w owym czasie zdarzeniem krzepiającym, było często wzruszającym przeżyciem osobistym. Koledzy tacy, jak Leszek Makulski, z którym razem studiowaliśmy na Wydziale Dziennikarskim SNP, jak Antoni Bida, znali mnie chyba najdawniej. Z nimi obydwoma pracowałam przez wiele lat w tym samym wydawnictwie, dyskutowaliśmy na setki tematów i poznaliśmy swe rodziny. Toteż te powrotne spotkania miały w sobie coś radosnego dla nas, tak ciężko przecież doświadczonych.

Ale „powędrować na Pragę”, nie było wówczas dla mnie sprawą łatwą, ze względu na słabe siły fizyczne. Trzeba było albo jechać krążącymi po stałych trasach ciężkimi platformami-samochodami, albo iść pieszo dobrych kilka kilometrów. Tramwaje kursowały tylko po prawym brzegu Wisły, a po lewym dopiero naprawiano główne tory. Uzyskanie sa-

mochodu osobowego (z redakcji) nie było rzeczą łatwą. Nie cierpiałam prosić o żadne fawory dla siebie. Spróbowałam tedy jazdy ciężarówką „na Pragę”, jak to brzmiało w warszawskim narzeczu. Było to coś koszmarnego. Wejście na wóz — nawet jeżeli działały żelazne schodki, rodzaj drabinki — odbywało się przy pomocy i pokrzykiwaniu współpasażerów, a zejście bywało często jeszcze dramatyczniejsze lub — jeśli kto woli — jeszcze komiczniejsze, gdy trzeba było korzystać z ofiarnej pomocy towarzyszy niedoli i padać w objęcia przygodnego siłacza, aby nie rozbić się o bruk. Zapewne, że humor warszawski nieraz ratował sytuację, lecz dla tak słabej i kruchej niewiasty, jaką byłam, trudna do wytrzymania była jazda na stojąco, w tłoku, na odsłoniętej i rzucającej na boki platformie. Po paru próbach wolałam już iść pieszo, niż męczyć się taką jazdą. Ostatecznie można było w drodze zatrzymać się i odpocząć, a spacer przez tak zwany „most wysokowodny” drewniany, konstrukcji wojskowej, przypominał przy przechodzeniu przez Wisłę jakby cofnięcie się w zamierzchłą erę pradziadów, zwłaszcza gdy padał jesienny deszcz na oślizgłe bale drewnianego pomostu.

Gdy dotarłam w taki sposób do ministerstwa, mieszczącego się w jakiejś kamienicy przy ulicy Targowej, rozwiały się wrażenia z trudów tej wyprawy. Dobroduszny spokój, z jakim witał mnie pan Antoni w swym bardzo skromnym biurze, podkreślał nikłość minionego czasu — tego okrutnego i potwornego okresu, który przewalczyliśmy każdy na swój sposób — a teraz zupełnie zwyczajnie zabieramy się do swej roboty, jakbyśmy nie dawniej, niż wczoraj, odeszli od wspólnego warsztatu pracy. Nie było też między nami mowy o najcięższych rodzinnych, własnych przeżyciach. Pobieźnie tylko i jakby dla formalności powiedziało się o tym, że wiemy, że pamiętamy...

Jeszcze przed zimą doszliśmy w „Kurierze Codziennym” do setnego numeru dziennika. W połowie października nadszedł uroczysty dzień, zgodnie z tradycją obchodzony przez drukarnię i redakcję. W południe delegacja zecerów udała się do naczelnego redaktora, ofiarowując mu pamiątkowy „złoty numer” odbity na specjalnym papierze połączoną farbą (wydaje mi się, że numer ten jest zachowany w zbiorze archiwalnym „Kuriera” w Stronnictwie Demokratycznym). Nie obyło się bez przemówień: wśród pracowników drukarni byli oratorzy lubujący się w pięknym słowie (wśród nich Waclaw Koral, autor wspomnień drukarza oraz inni działacze związkowi), a nasz profesor Wasowski słynął z wymowy i przy tej okazji naprawdę wzruszony odpowiedział z wielką swadą. Wspólne śniadanie, w którym wszyscy uczestniczyliśmy, dało pole do dalszych wynurzeń i rozmówek o aktualnych naszych sprawach.

Był już listopad, gdy do Warszawy przyjechała pierwsza po wojnie delegacja dziennikarzy francuskich. Była to grupa 21 osób interesują-



cych się stosunkami w Polsce, ludzie lewicy i zbliżeni do Résistance — ruchu oporu. Na spotkanie, jakie było przygotowane wieczorem dla uczestników, redaktor Wasowski zaprosił mnie, wiedząc może o moich dawnych wyjazdach do Francji. Jechaliśmy przysłanym ze Stronnictwa porządnym samochodem — szofer prowadził wóz dosłownie noga za nogą, pomaleńku w ciemnościach, po gęstym błocie, wśród deszczu przez ulice, które wydawały się nie znane. Przyjęcie w dużej, dobrze oświetlonej sali — jak mi się zdaje w Hotelu Bristol — było dalekie od luksusu; goście nasi nie oczekiwali też chyba tutaj zbytku i nadzwyczajnej zasobności, robili sympatyczne wrażenie ludzi skromnych wymagań. Przy stole, siedząc naprzeciwko redaktora Wasowskiego, prowadziłam z francuskimi sąsiadami rozmowy. Naturalnie rozległy się przemówienia nastrojone na dość wysoki tenor — co Francuzom łatwo przychodzi — jednak przedstawiciel polskiego dziennikarstwa nie dał się zdystansować. Nie pod względem patosu — do czego była łatwa okazja — naprawdę niepospolite było to przemówienie z cytatami starożytnych, francuskich i polskich autorów, wygłoszone świetnym językiem francuskim, z głębszym znaczeniem politycznym, co było potrzebnym akcentem. Wasowski sam czuł, że to przemówienie było doskonałe — nie wiem, czy zachowało się w jakimś szkicu, poza moim sprawozdaniem w „Kurierze”.

Do wspomnień owego czasu należy też wyprawa sprawozdawcza z Leszkiem Makulskim. Polecono nam wspólne opracowanie sprawozdania z jednego z ważniejszych wówczas zebrań władz Stronnictwa Demokratycznego. Odbywało się to na Saskiej Kępie w dawnej willi artystycznej pary, już nie żyjącej Haliny Szmolcówny i jej męża, Grzegorza Fitelberga. Miejsce to miało dla mnie swą wymowę, gdyż przez dwa lata poprzedzające wojnę 1939 r. mieszkałam w sąsiednim domu i tragiczna śmierć artystki, okrutnie poranionej odłamkami bomby niemieckiej w pierwszych dniach września podczas przechodzenia przez most Poniatowskiego, wstrząsnęła wszystkimi.

Zebranie trwało całe popołudnie i do późna w noc. Leszek był bardzo sumienny w pracy; byliśmy mocno już zmęczeni, gdy powróciliśmy na Śniadeckich do redakcji, aby opracować sprawozdanie. Pisaliśmy je z notatek, uzupełniając się wzajemnie i od razu posyłałiśmy na dół do zecerni, a potem przeglądali pierwsze „szczotkowe” odbitki. Mam wrażenie, że wypadło to porządnie i na pewno jeszcze po moim wyjściu (na szczęście mieszkałam tuż obok redakcji) Leszek przejrzał korektę do końca. Tej nocy nocował na stole w redakcji, bo już było za późno, by mógł dojechać do domu w Podkowie Leśnej, pod Warszawą.

W październiku 1945 r. Warszawa przeżywała szereg uroczystości poświęconych Chopinowi, a ściśle biorąc, powrotowi jego serca do Warszawy. Przewidując zamach hitlerowców na tę pamiątkę — wydobyto

serce z filara w kościele Św. Krzyża i przechowano w Milanówku. Teraz przyszedł czas na powrót. Dzięki Renacie, która pilnowała sprawy, mogłam w „Kurierze Codziennym” zamieszczać informacje i artykuły.

Nigdy informacja reporterska nie była moją „mocną stroną”, ale można też znaleźć niektóre moje informacje w kronikach „Kuriera”. Natomiast chętnie wkraczałam na różne tereny kulturalno-artystyczne, jeżeli była sposobność, zainteresowanie i, naturalnie, jeśli to nie stwarzało koleżeńskich dysonansów. I tak np. z zapałem pisałam o złej i dobrej doli Ogrodu Łazienkowskiego — wyniszczeniu drzew, ścinanych na opał przez marznącą ludność, póki ogród nie uzyskał opieki i zarządu z ramienia najwyższych władz — Krajowej Rady Narodowej.

Wielką osobistą satysfakcję miałam przy prezentacji nowego dzieła Marii Dąbrowskiej *Bogumił i Stanisław* (znacznie później wystawionego w teatrze). Przemawiała autorka, czytał Marian Wyrzykowski. Trafiłam wtedy do „Kuriera Literackiego”.

Po wstępnym okresie „niedołęstwa” szybko odzyskałam energię i dobrą formę w pracy. Już we wrześniu 1945 r. poczułam się znacznie lepiej pod względem fizycznym. Myślę dziś, że było to skutkiem oddziaływania środowiska pracy zawodowej i całego zespołu podnieć, jakie otrzymywałam z wcale niełatwej atmosfery życia w zrujnowanej Warszawie. Trudno dziś zdać sobie sprawę, jak wiele zrobiliśmy w bardzo krótkim czasie, ile potrafiliśmy skoncentrować sił i środków, wielkich i drobnych przedsięwzięć. Wydaje się nieprawdopodobne, by można było w ciężkich warunkach uzyskać takie rezultaty... Po prostu nie myśląc o sobie podejmowało się pierwsze z brzegu zadania, nie czekając na najpilniejsze z pilnych, najważniejsze z ważnych. I dopiero po latach można było obejrzeć się wstecz i policzyć własne kroki w przebytej przestrzeni.

Z kronik „Kuriera” chciałabym wydobyć dwie charakterystyczne informacje; o tych pozostałościach okupacji hitlerowskiej dawno już zapomnieliśmy i nie zdajemy sobie sprawy, że je przeżywaliśmy w początkach Polski Ludowej.

Oto np. notatka nonparelem: *Co otrzymamy na kartki?* Było to już 9 września 1945 r. Ale wciąż sklepy wydawały „na kartki dziecięce” mleko sproszkowane po 0,7 kg na głowę. Cukier dla I kategorii (dla pracujących) — 1 kg, dla II kat. tylko 0,4 kg. Zapałki po 2 pudełka i po 1 pudełku. Cukierki dla dzieci po 0,15 kg. I tak dalej. Nie za wiele. Ceny były ustalone wraz z kosztami przewozu.

Inna mała notatka mówi o pracy jeńców niemieckich przy ulicy Pięknej... Przypomnę, że w końcu okupacji mówiło się, że Warszawę odbudują nam Niemcy — co zniszczyli, muszą odbudować.

Z biegiem czasu początkowe nastroje życzliwości i koleżeństwa zespołu „Kuriera Codziennego” rozplywały się w pospolitych zabiegach

i w ambicjach niektórych jednostek. Tak mi się wówczas przedstawiały poczynania osób, które wniosły dysonans w nasz koleżeński zespół i które mogły zatruć spokój naszemu kierownikowi redakcji. Zaważyła też na stosunkach redakcyjnych śmierć Renaty Marciniak, która — jako sekretarz redakcji — odznaczała się koleżeńską życzliwością. Jej o wiele przedwczesny zgon wywołał wśród nas głęboki żal, jej tragiczny pogrzeb pozostał w pamięci.

Z końcem 1945 r. nastąpił w wydawnictwie „Kurierza Codziennego” jakiś rozpad dotychczasowych sił i wpływów. Nie umiem tego inaczej określić, lecz było jasne, że dla mnie osobiście kończył się okres pomysłowości. Nie potrafiłam pracować w atmosferze wyraźnie nie sprzyjającej jasności zarówno wobec kierownictwa redakcji, jak i mojego stanowiska w zespole.

Trzeba było myśleć o innym miejscu pracy. Jak nieraz już bywało w mych losach, pomógł mi przypadek i zbieg okoliczności. Któregoś dnia przed południem do redakcji naszej wszedł Grzegorz Załęski. Witaliśmy się z niebywałą radością po bardzo długim niewidzeniu się. I z miejsca wrócił bezpośredni, serdeczny koleżeński ton. Załęski organizował wówczas wydawnictwo „Wiedza” z ramienia PPS — szukał współpracowników do tworzącej się agencji prasowej... Po krótkiej rozmowie z Rafałem Pragą, do którego mnie skierował, zostałam szumnie mówiąc — zaangażowana do Socjalistycznej Agencji Prasowej jako sekretarz redakcji zagranicznej i podpisałam umowę.

#### ZJAZD 14—15 GRUDNIA 1945 R.

Na koniec 1945 r. przypadło ważne dla dziennikarzy zdarzenie: pierwszy po kilkuletniej przerwie zjazd ogólnokrajowy dziennikarzy zorganizowany w Warszawie w dniach 14—15 grudnia. W sprawozdaniach zamieszczonych w „Kurierze Codziennym” i w innych dziennikach warszawskich oraz w prasie innych miast można odnaleźć przebieg i wyniki tego zjazdu. Najważniejsze było skupienie ludzi zawodu w organizacji, która dążyła do reprezentowania ich interesów w ogólnych ramach ustroju.

Poprzedziły ten zjazd wstępne czynności organizacyjne. Jeszcze przed moim powrotem do Warszawy, w końcu 1944 r. lub w początkach 1945 r., koledzy warszawscy zakrzętnęli się około wskrzeszenia organizacji zawodowej na swoim terenie. Tylko ze słyszenia wiem, że poważniejszą rolę odegrali wówczas red. Halszka Duninówna i red. Bohdan Skąpski. Na przewodniczącego Oddziału Warszawskiego Związku Zawodowego Dziennikarzy RP powołano red. Wiktora Borowskiego.

Osobiście zjazd ten przeżyłam w mocnych i raczej tragicznych zabar-

wieniach myślowych i uczuciowych. Będąc od dawna czynną członkinią zarządów organizacji dziennikarskiej, zdawałam sobie sprawę ze straszliwego spustoszenia szeregów zawodowych. Na zjeździe odczytano kilkaset nazwisk — niepełną jeszcze *Listę strat dziennikarstwa polskiego* — a niemal każde z tych nazwisk to była znajoma twarz, czyjeś słowa, gest, wyraz... wspomnienie wspólnej pracy, wyjazdów, dyskusji, sprzeczek i wesołych żartów... Gdy weszłam na salę obrad jako jedna z delegatów zjazdowych (w dużym, a ponurym pomieszczeniu dawnego Banku Gospodarstwa Krajowego u zbiegu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata), zastałam garstkę dawnych kolegów, o których przez lata okupacji nic nie wiedziałam, i mocno wzruszona witałam ocalonych, wśród nich jedyne chyba z łodzian red. Bogusławskiego, którego byłabym nie poznała, gdyby sam się nie przypomniał... I trzeba było mówić o tych wielu straconych, których nie zobaczymy już nigdy i którzy zginęli w straszny i tragiczny sposób — jak i gdzie? tego nikt się nie dowie.

Otwarcie obrad odbyło się z natury rzeczy w nastroju uroczystym. Nie było jednak radośnie ani beztrzesko. Ludzie byli wyniszczeni biedą i dramataми życiowymi, wyczerpani niewolą okupacyjną, poszkodowani na zdrowiu i siłach. Zagadnienia, jakie nasuwały się w naszym zawodzie, też nie usposabiały do łatwych rozwiązań. Wydaje mi się — takie wrażenie odniosłam z naszego zjazdu — że samo policzenie zbiorowych sił ówczesnego dziennikarstwa, nie mówiąc o jego ideowym rozbiciu, nasuwało ogółowi uczestników refleksje dalekie od optymizmu i beztrzeski. Nawet ci, którzy przychodzili jako nowy element i może spodziewali się jakiejś „kariery” w zawodzie, mogli orientować się, jak trudne i ciężkie zapowiadały się warunki tej pracy i służby publicznej dziennikarza w wyniszczonym kraju i w spustoszonych warsztatach pracy.

\*

\*                      \*

Inicjatyw nie brakowało wśród uczestników niedawnej prasy podziemnej. W 1946 r. — nie pamiętam daty — odbyło się inauguracyjne zebranie grupy ludzi, którzy zamierzali utworzyć trwały związek byłych pracowników prasy podziemnej. Półprywatny jeszcze charakter narady podkreślał fakt, że zebraliśmy się — około 20 osób — w mieszkaniu Zofii Kilińskiej (pseudonim okupacyjny Barbara), a lokal ten na ul. Dobrej był znany współpracownikom podziemnego „Demokraty”. Niewątpliwe też jest, że inicjatywa takiego związku wyszła z kół PPS, skupionych po wojnie koło wydawnictwa „Wiedza”.

Pod względem „merytorycznym” nie było na tym zebraniu przeciwnych stanowisk. Wszyscy byliśmy zgodni, że tego rodzaju związek

będzie przydatny społecznie i że powinien powstać. Oczywiście, zdawaliśmy sobie sprawę z możliwych trudności, a nawet rozbieżności kierunków politycznych, jakie zresztą wyraźnie zaznaczały się w okresie okupacji w prasie konspiracyjnej, wydawanej przez różne ugrupowania.

Na zebraniu tym postanowiono zorganizować zjazd pracowników prasy podziemnej i przygotowanie zlecono red. Teofilowi Głowackiemu jako przewodniczącemu komitetu organizacyjnego.

W sali gmachu (wówczas jeszcze należącego do Zw. Zaw. Dziennikarzy RP) dawnej Wyższej Szkoły Dziennikarskiej (ul. Rozbrat 44a) spotkało się na zjeździe około 200 osób, delegowanych przez różne miasta i środowiska. Było to 29 czerwca 1947 r. Obrady otworzył przewodniczący komitetu organizacyjnego red. Teofil Głowacki, który przewodniczył zebraniu. Wśród zaproszonych był też dr Stanisław Płoski, wówczas dyrektor Instytutu Pamięci Narodowej, znany historyk wojskowości i uczestnik działań prasy podziemnej.

Obrady toczyły się w gorącym nastroju, ale wyniki były mało owocne. Zlecono Komitetowi Organizacyjnemu starania o utworzenie przy ówczesnym Związku Uczestników Walki Zbrojnej o Niepodległość i Demokrację — Sekcji Pracowników Prasy Podziemnej.

Lecz już na sali obrad odzywały się głosy, że w obecnych warunkach nie ma widoków na powstanie i rozwój działalności naszej grupy. Obawy te rzeczywiście się spełniły.

Jakkolwiek inicjatywy byłych pracowników prasy konspiracyjnej nie doprowadziły do zamierzonej formy organizacyjnej w latach 1946—1947, to jednak raz poruszona myśl utorowała sobie drogę. Badania naukowe prowadzone pod auspicjami Polskiej Akademii Nauk w zakresie historii najnowszej, jej fundamentalne wydawnictwa oraz prasoznawcze wspomnienia starszych dziennikarzy, prace i materiały publikowane w „Roczniku Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego” systematycznie pogłębiają wiedzę o prasie tego trudnego okresu.

#### SOCJALISTYCZNA AGENCJA PRASOWA

Przejęcie z redakcji „Kurier Codzienny” do Socjalistycznej Agencji Prasowej<sup>1</sup> od 1 lutego 1946 r. dokonało się w ciągu niewielu dni po mej rozmowie z dyrektorem wydawnictwa „Wiedza” Grzegorzem Załęskim i po pożegnaniu z redaktorem Wasowskim. Niezwłocznie porozumiałam się — na polecenie dyr. Załęskiego — z redaktorem Rafałem Pragą. Rozmowa odbyła się w redakcji „Robotnika” (Aleje Jerozolim-

<sup>1</sup> Socjalistyczna Agencja Prasowa (SAP) — agencja działająca w latach 1946—1948, obsługująca prasę PPS. Połączona następnie z Robotniczą Agencją Prasową w Agencję Robotniczą.

skie 121) we wczesnych godzinach popołudniowych. Rafał wydał mi się bardzo młody, młodszy niż był w istocie, lecz jego energia, rozległość inicjatywy i zdecydowanie, z jakim dążył do celu, przekonały mnie od razu i nadal nie zawodziły. Był lojalny i życzliwy mimo swego kapryśnego stosunku do ludzi.

Redakcja początkowo mieściła się przy ul. Wiejskiej, przemianowanej wówczas na ulicę Ignacego Daszyńskiego, w zachowanych dość nowoczesnych domach.

Nie spodziewałam się zastać tu wspaniałego lokalu redakcyjnego wyposażonego luksusowo, lecz gdy weszłam do dużego, obszernego i pustego pokoju — zrozumiałam, że trzeba będzie po raz drugi zaczynać od niczego. Wcale mnie to nie odstraszało — było raczej potwierdzeniem reguły nowego naszego życia i konieczności ustawicznego wysiłku.

Przyjął mnie zastępca redaktora naczelnego Pragi red. Witold Wolff, o którym już zasłyszałam od kolegów. Były to same superlatywy na temat zdolności i dzielności „prawdziwego dziennikarza”, bardzo czynnego w okresie okupacji — opinie jak najlepsze jako o koledze.

Na razie i tu zaczynało się od zbierania krzeseł i biurerek... Na początek była w redakcji jedna stara maszyna do pisania — nie było maszynistki... Gdy miał wyjść pierwszy numer biuletynu — następnego dnia po moim przyjeździe na ulicę Daszyńskiego — biedny Wolff w ostatecznej rozpaczycy wpadł do pokoju redakcyjnego i błagał, bym napisała parę woskówek do powielenia serwisu... Nie wiem, dlaczego jeszcze nie było maszynistki; moje umiejętności (zwłaszcza w pisaniu na woskówce) były bardzo niewystarczające, ale co było robić? Jakoś wystukałam parę stron, a Wolff, zachwycony, ucałował moje ręce.

I tak wystartowaliśmy. Dokładnej daty nie pamiętałam; sprawdziłam, że to było dnia 2 lutego 1946 r.

W przeciągu kilku dni opanowaliśmy sytuację. Zaczęła się mniej więcej regularna praca, lecz te pierwsze momenty były zdumiewającym chaosem, prawdziwym „bałaganem” nawet dla naszych dziennikarskich przyzwyczajzeń i gustów.

Ograniczę się w swych relacjach do działu depezb zagranicznych, który prowadziłam do 15 grudnia 1948 r., tj. do połączenia partii robotniczych. Agencja SAP połączyła się wówczas z agencją RAB (Robotnicza Agencja Prasowa)<sup>2</sup>, a dział depezb zagranicznych został tu w ogóle skasowany.

Początki w zakresie depezb zagranicznych były trudne — materiału było mało, stopniowo przydzielono mi pierwsze tłumaczki — Marię Przy-

<sup>2</sup> Robotnicza Agencja Prasowa (RAP) — agencja działająca w latach 1946—1948, obsługująca prasę PPR. W 1947 r. włączona do Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa”.

borowską i Eleonorę Aszerową. Trzeba było ułożyć tryb współpracy, który polegał na tym, że otrzymane z nasłuchu radiowego (początkowo tylko z jednego aparatu) kartki przeglądałam i wyznaczałam do przetłumaczenia. Następnie sprawdzałam teksty przetłumaczone na język polski, korygowałam je i odsyłałam do sekretariatu redakcji lub wprost do maszyn, gdzie były utrwalane na woskówkach i powielane.

Co kilka dni, najmniej raz w tygodniu, odbywały się konferencje redakcyjne u redaktora naczelnego Pragi. Przez kilka miesięcy w nich uczestniczyłam, ponieważ jednak rozważano na nich przeważnie lub nawet wyłącznie sprawy działu krajowego, nie dotyczące działu zagranicznego, redaktor naczelny uznał za właściwe zwolnić mnie z przychodzenia na te narady.

Nieco później, z końcem 1946 r. lub z wiosną 1947 r., zaczęły się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych cotygodniowe konferencje prasowe u nowo mianowanego dyrektora departamentu prasowego, Wiktora Grosza. Był to mój kolega z redakcji przedwojennego „Dziennika „Porannego”<sup>3</sup>.

Z obowiązku bywałam na konferencjach prasowych u dyr. Grosza w MSZ. Dawały one kierunek informacji zagranicznej w myśl życzeń rządu. Dyskusje bywały niekiedy interesujące. Gromadziło się około 20 osób z prasy, zainteresowanych aktualnymi sprawami i kulisami zdarzeń na terenie międzynarodowym.

Jednym z ważniejszych epizodów akcji prasowej, inspirowanej przez MSZ, była konferencja prasowa w sprawie granicy polsko-niemieckiej, prowadzona przez ministra spraw zagranicznych Zygmunta Modzelewskiego. Podał on dziennikarzom polskim i zagranicznym oświadczenie Rządu Polskiego wobec wysuniętej przez sekretarza stanu USA Marshalla propozycji „powołania specjalnej komisji do zbadania zagadnienia granicy polsko-niemieckiej”. Oświadczenie tą stwierdzało, że granice zachodnie Polski są rzeczą przesądzoną i zdecydowaną zgodnie z uchwałami konferencji w Jałcie i Poczdamie oraz zgodnie z umowami o przesiedleniu ludności niemieckiej, zawartymi z władzami sojusznicy.

Komentarz ministra Modzelewskiego został przytoczony — po tekście oświadczenia Rządu Polskiego — na trzeciej stronie biuletynu Socjalistycznej Agencji Prasowej (nr 91) w serwisie Krajowym SAP z dnia 10 kwietnia 1947 r. wraz ze sprawozdaniem z konferencji prasowej.

Wybiegłam nieco naprzód od dni, kiedy SAP rozpoczynał pracę, a z każdym miesiącem rozszerzała się ona i ustalała. Już w drugiej połowie r. 1946 Agencja przeniosła się do siedziby „Robotnika” i świeżo

<sup>3</sup> „Dziennik Poranny” — pismo informacyjno-polityczne o tendencji jednolito-frontowej, założone w Warszawie na początku 1937 r. z inicjatywy lewicowych działaczy Zw. Nauczycielstwa Polskiego. Zlikwidowane w listopadzie 1937 r.

powstałego „Expressu Wieczornego” w Aleje Jerozolimskie 121. Tutaj — jak mi to przypomniał Wincenty Hoffman — zmontowany był już lepiej odbiór radiowy i łączność telefoniczna oraz dalekopisowa. Miało to duże znaczenie dla depeesz zagranicznych.

Pod względem lokalowym (ciasne korytarzyki i licha struktura budynku w Al. Jerozolimskich) było tutaj znacznie gorzej. Straciliśmy własną stołówkę. Mój pokój był mały, niewygodny i ciemny. Tłumaczki miały obszerny i jasny pokój, ale szybko zageściły się stoliki i maszyny do pisania, tak że chwilami bywało i tam ciasno. Niezależnie od tego nastrój był przeważnie sympatyczny i dobry. Nie należało tylko wspominać o Oświęcimiu — gdy raz pani Ela zaczęła mówić o przeżytych tam scenach — po prostu załamała się i nie mogła dokończyć zdania...

Na Aleje Jerozolimskie powędrowaliśmy chyba za redakcją „Expressu Wieczornego”<sup>4</sup>, czyli za naszym redaktorem naczelnym Rafałem Pragą.

W roku 1946 Rafał Praga działał, był w rozkwicie inicjatyw, w okresie budowania instytucji prasowych. SAP przestał mu wystarczać — myślami był już przy „Expressie”. Wciągnął do współpracy nie tylko M. Krzepkowskiego — z „Kuriera Codziennego” — wyciągnął z SAP Witolda Wolffa, przyciągnął też z działu krajowego SAP Modesta Dobrzyńskiego. Sam Praga rozrywał się między nasze dwie redakcje — wpadał do SAP, doskakiwał do „Expressu”. W owych szalonych, a twórczych czasach wszelakich zabiegów organizatorskich nikogo to nie dziwiło. Każdy z nas spalał się, działając na paru frontach. Niewielu jednak przetrwało wysiłki, groźne dla osłabionych warunkami okupacyjnymi organizmów.

W zachowanej w mych papierach czterostronicowej ulotce, wydanej przez Spółdzielnię „Wiedza”, znajduję dane z roku 1947. Spółdzielnia socjalistyczna wydawała od 1945 r. 9 dzienników o łącznym nakładzie 600 000 egzemplarzy, 4 czasopisma i teoretyczny organ partii („Przegląd Socjalistyczny”)<sup>5</sup>, prowadziła Socjalistyczną Agencję Prasową, zmontowała 13 drukarni w kraju oraz własne księgarnie, wydawała książki i broszury. Zabawna jest omyłka w zestawieniu ilości dzienników, wydawanych przez Spółdzielnię „Wiedza”. Wystarczy podliczyć tytuły wymienione w ulotce reklamowej. Okazuje się, że jest ich dzieśięć — 10 (nie 9!). Poza tym nie wymieniono w tej ulotce mutacji, których było kilka, ani oddziałów w miejscowościach, skąd korespondenci

<sup>4</sup> „Express Wieczorny” — popularny popołudniowy dziennik wydawany od 20 V 1946 r. przez Spółdzielnię Wydawniczą „Wiedza” pod redakcją Rafała Pragi.

<sup>5</sup> „Przegląd Socjalistyczny” jako miesięcznik CKW PPS zaczął się ukazywać w listopadzie 1945 r. pod redakcją komitetu, w którego skład wchodził: J. Cyraniewicz, J. Hochfeld i K. Rusinek.



nadsyłałi informacje. Tak np. „Głos Pomorza” z siedzibą w Toruniu zorganizował oddziały w pobliskich miastach: Bydgoszczy, Grudziądzu, Inowrocławiu i Włocławku. „Kurier Morski” obejmował Gdańsk, Sopot, Gdynię; Szczecin i Wałbrzych korzystały z mutacji „Wrocławskiego Kuriera Ilustrowanego”. Wspominam o nich, gdyż wszystkie one otrzymywały serwis SAP, a posiadały też lub miały niebawem otrzymać połączenia dalekopisowe.

Główne ośrodki prasy socjalistycznej (PPS) w latach 1945—1948 istniały w Warszawie („Robotnik” i od 1946 r. „Express Wieczorny”). W Toruniu ukazywał się „Głos Pomorza”, w Krakowie — „Naprzód”, w Poznaniu — „Express Poznański”, w Gdańsku (Sopot) — „Kurier Morski”, w Łodzi — „Kurier Popularny”, we Wrocławiu — „Wrocławski Kurier Ilustrowany”, w Katowicach — „Gazeta Robotnicza”, w Częstochowie — „Częstochowski Kurier Ilustrowany”<sup>6</sup>.

Od pierwszej niemal chwili ukazywania się codziennego serwisu SAP dzielił się on na 4 zasadnicze działy: krajowy, zagraniczny, gospodarczy i publicystyczny, wyraźnie od siebie oddzielone, co uwidocznione było w górnym szlaku napisów na każdej kartce. Serwis obejmował początkowo niewiele kartek; gdy rozrósł się, spęczniał do kilkudziesięciu kartek dziennie, zapisanych gęsto maszynowym drukiem powielaczowym, oczywiście jednostronnym. Papier, jaki można było uzyskać w owym czasie, był żółtawy, kiepskiego gatunku. Od czasu do czasu pojawiały

<sup>6</sup> Autorka wymienia zarówno oficjalne dzienniki PPS, jak i popołudniówki wydawane przez „Wiedzę” — faktycznie też pisma tej partii. Spośród wymienionych „Głos Pomorza” ukazywał się początkowo w Grudziądzu, a następnie w okresie 11 IX 1945—16 XII 1948 w Toruniu, „Kurier Morski” jako mutacja tego dziennika ukazywał się w okresie 18 VIII 1947—16 XII 1948. „Naprzód” początkowo był tygodnikiem, a od 1946 r. dziennikiem i wychodził od 18 II 1945 do 15 XII 1948 r., przy czym od 1947 r. była to mutacja katowickiej „Gazety Robotniczej”, która wychodziła od 29 III 1945 do 15 XII 1948 r. „Express Poznański” wydawany był w okresie 20 XII 1946 do końca 1948 r. Przed tym dziennikiem, organem PPS w Poznaniu, była tygodniowa, a następnie codzienna „Walka Ludu” (9 IX 1945—16 XII 1946). W Łodzi dziennikiem PPS był „Kurier Popularny”, wydawany od 27 X 1945 r. Organem PPS we Wrocławiu był początkowo „Naprzód Dolnośląski”. Jego kontynuacją zaś był „Wrocławski Kurier Ilustrowany”, wydawany od 15 VII 1946 r. „Częstochowski Kurier Ilustrowany” był mutacją gazety wydawanej we Wrocławiu i ukazywał się od IV do 31 X 1948 r. Z innych pism PPS autorka nie wymienia „Chłopskiej Prawdy”, tygodnika dla wsi, wydawanego od 20 III 1946 r., „Barykady Wolności” oraz krócej istniejących pism lokalnych: „Pobudki” w Łodzi, „Nowego Dnia Robotnika” w Toruniu, który poprzedził „Robotnika Pomorskiego”, i „Robotnika Kujawskiego”, które połączyły się tworząc „Głos Pomorza”. W Radomiu ukazywało się „Życie Robotnicze”, w Płocku „Robotnik Mazowiecki”. Poprzednikiem „Kuriera Morskiego” dla Wybrzeża był samoistny „Robotnik Morski” (10 II 1946—III 1947). Oprócz tego PPS firmowała „Głos Grudziądz” — poprzednika „Głosu Pomorza”, i „Życie Białogrodzkie”.

się działy specjalne, jak np. serwis z procesu Fischera, relacjonowany szczegółowo na kilku kartkach przez specjalnych sprawozdawców.

22 sierpnia 1947 r. ukazał się dodatkowo nr 1 „Serwisu Kulturalnego” jako numer okazowy. Nie pamiętam, czy utrzymał się, czy ukazywał się raz w tygodniu, czy inaczej.

Muszę tu dodać, że udało mi się odszukać tylko niewiele numerów SAP, niektóre zachowane tylko częściowo i z różnych lat. Była to nie-mała trudność w moim opisie. Nie mogę nie tylko spojrzeć krytycznie na całość prac Agencji, lecz i na dział zagraniczny z punktu widzenia charakterystyki informacji o zdarzeniach politycznych lat powojennych. Wątpię zresztą, czy ktokolwiek znajdzie kompletny zespół numerów SAP.

Jak już wspomniałam, przeniesienie redakcji SAP na Al. Jerozolimskie 121 ułatwiło kontakty z redaktorem naczelnym Rafałem Pragą oraz z sekretarzem redakcji Witoldem Wolffem. Niedługo jednak cieszyliśmy się tym świetnym i miłym kolegą. Zachorował na płuca w jesieni 1946 r. i zmarł w listopadzie. Była to wielka strata dla nas wszystkich i dla dziennikarstwa polskiego. Odszedł młody, utalentowany, wybitny dziennikarz. Jego miejsce w sekretariacie generalnym SAP — dla działu krajowego — zajął Janusz Laskownicki, niezwykle sumienny, wymagający dziennikarz, któremu wiele zawdzięcza młoda kadra. Ze zwierzeń młodych kolegów przypominam sobie, że „bali się” go i jego surowych monitów, a uznawali jego autorytet i wiedzę.

W moim dziale — muszę to dziś powiedzieć — czułam się niekiedy „opuszczona”, zdana na własne siły i musiałam sama sobie radzić w sytuacjach wątpliwych. Praca nie była łatwa, a zwłaszcza od strony politycznej stawała się coraz trudniejsza.

Jedną z trudności codziennej pracy było właściwe rozwinięcie bardzo zwięzłych tekstów depeš w różnych językach, a trzeba było to robić, aby uczynić je zrozumiałymi dla czytelnika oraz z konieczności dopasowania treści do potrzeb prasy. Dbałam szczególnie o poprawną polszczyzną depeš.

Gdy już praca w dziale zagranicznym przekroczyła granice moich godzin pracy i trzeba było ustanowić wieczorne i wczesnoporanne dyżury, dzielił ze mną pracę depešowca red. Henryk Wachsberger, który niedawno wrócił ze Związku Radzieckiego. Był to nie tylko dobry dziennikarz, lecz niezwykle łagodny, delikatny i taktowny człowiek, bardzo skromny. Wszyscy koledzy bardzo go lubili. Niestety, „Henio”, ze swym nadwreżonym zdrowiem, niedługo radował się życiem. Zmarł młodo w marcu 1951 roku.

W gronie „moich” tłumaczy też następowały zmiany, lecz żelazną kadrę stanowiły do końca Maria Przyborowska i Eleonora Aszerowa,

Więcej płynności było wśród tłumaczy mężczyzn, wśród których pojawili się też studenci, m. in. Marcin Czerwiński i Jerzy Adamski.

Z działu krajowego znalazłam wszystkich kolegów dziennikarzy, zachowałam o wielu z nich bardzo miłą pamięć, choć nie widuję ich już od lat. Tak np. pamiętam młodziutkiego wówczas zakopiańczyka Ryszarda Wojnę, dziś korespondenta zagranicznego, znawcę spraw niemieckich; ze swoistym wdziękiem śpiewał nam góralskie piosneczki spod Tatr. Bardzo lubiłam Feliksa Charnickiego (Brodzkiego) ekonomistę, już wówczas specjalistę w sprawach gospodarczych. Pamiętam uroczego, nieco neura-stenicznego Tadeusza Rubacha i jego żonę dziennikarkę Janinę Kuczewską i wielu innych. Przyjaźniłam się z Zygmuntem Zabieglińskim, twórcą i organizatorem archiwum i biblioteki redakcyjnej „Expressu”, miłośnikiem dobrej muzyki, co stanowiło więź między nami. Często widywałam Stanisławę Syruczkową (późniejszą Dobrzyńską); łączyło nas koleżeństwo i niemal rodzinne stosunki oraz wspólna praca bibliotekarska w czasie okupacji. Stanisława jako kierownik działu technicznego była w SAP ważną osobą, podlegały jej hala maszyn i powielanie serwisu. Niemal miała kłopotów z pracą maszynistek, których było sporo, a wymagania redaktorów i ciągły pośpiech stwarzały nieraz atmosferę zdenerwowania. Znajdowała jednak czas na pracę dziennikarską dla serwisu krajowego SAP (sprawozdania z konferencji, liczne reportaże z miasta, z kraju).

Oczywiście nie tylko pracą się żyło... Bywały wówczas chwile wesołości, różne koleżeńskie spotkania imienninowe, „jubileuszowe” i bez żadnego powodu. Było w SAP dużo ludzi młodych i pomysłowych, różne przyśpiewki i potańcówki... czasami w lokalu SAP, czasami w jakiejś kawiarni lub w domu. Nie mieliśmy wówczas wielkich wymagań, wszyscy byli zrujnowani i zadowoleni z byle czego. Wystarczył dobry nastrój koleżeński, trochę wina i parę „kanapek” domowej produkcji.

W pisaniu tych wspomnień dużo dopomógł mi Wincenty Hoffman, który zachował niektóre dokumenty i sprawozdania z dziedziny organizacji pracy technicznej w SAP. Pan Hoffman, zawsze bardzo energiczny fachowiec, zorganizował dla SAP obsługę radiową i łącznościową, wystarał się o odpowiednie aparaty oraz dobrych radiotelegrafistów. Nie było to wówczas rzeczą łatwą. Kierownik techniczny telekomunikacji (przez co rozumiano wtedy radio, telegraf i telefon) nie skąpił trudu, jeździł po kraju do naszych placówek, montował nowe połączenia z redakcjami i usprawniał szwankujące. Według jego sprawozdań i wykazów, którymi życzliwie podzielił się teraz ze mną, pod koniec 1948 r. SAP dysponował szesnastoma aparatami radiowymi (odbiorczo-nadawczymi), ponadto siedmioma samopisakami i siedmioma wzmacniaczami. Tak rozbudowany

dział radiokomunikacyjny mieścił się w budynku przy Al. Jerozolimskich 121 na II piętrze.

Stopniowo przybywało materiału zagranicznego: odbieraliśmy depesze TASS, Reutera (z obsługi Dalekiego Wschodu, Afryki, Stanów Zjednoczonych oraz Kanady), Associated Press, United Press oraz serwisu europejskiego tej agencji amerykańskiej, tzw. ERUP, także jugosłowiański serwis TANJUG'U oraz ADN (Allgemeine Deutsche Nachrichten) z całych Niemiec.

Ze sprawozdania Wincentego Hoffmana przytoczę jeszcze informację o działających w SAP połączeniach dalekopisowych. Istniały one między centralą w Warszawie a sześcioma miastami: Szczecinem, Poznaniem, Toruniem, Łodzią, Katowicami i Wrocławiem, skąd można było dalej przekazywać wiadomości — także dyspozycje „Wiedzy” i zarządzenia organizacyjne SAP — do innych miast i placówek.

Tak mniej więcej streściłabym krótkotrwałe dzieje Socjalistycznej Agencji Prasowej do końca roku 1947. Rok następny, trzeci z kolei, okazał się znacznie trudniejszy dla nas, pracowników Agencji, która miała zniknąć z horyzontu pierwszych wysiłków organizowania prasy polskiej po II wojnie światowej. Zarówno wysiłki, jak i szybko wzrastające ambicje SAP należy mierzyć właściwą miarą wyniszczonego doszczętnie kraju. Wówczas okaże się, że osiągnięcia nasze oraz wyniki uporczywej, codziennej pracy były owocne, wielostronne i po prostu nadspodziewanie duże. Zaczynaliśmy od niczego, budowaliśmy zręby prasy, popełniając wiele błędów z braku możliwości i środków oraz z powodu niedostatków młodej kadry, którą trzeba było dopiero wykształcić i przygotować. W nieprawdopodobnie trudnych warunkach, lecz z radością i optymizmem wchodziliśmy do pustych, zrujnowanych domów, mówiąc sobie: „tu będzie nowa nasza redakcja”.